



Lisa
GENOVA

**SEKRET
O'BRIENÓW**

Powieść, która wzrusza,
odmienia i zapada w pamięć.

Powieść autorki *MOTYLA*



Lisa
GENOVA

**SEKRET
O'BRIENÓW**

Przełożyła Joanna Dziubińska

FILIA

Dla Stelli
Ku pamięci Meghan

*Gdy pozwolicie powstać tamtemu, co jest w was,
wtedy to, co macie, uratuje was.
Jeśli nie istnieje tamto, co jest w was,
wtedy to, czego nie macie w sobie, uśmierci was.*
Ewangelia wg Tomasza 70*

Kiedy już coś sobie wyobrazisz, nie da się tego cofnąć.
Joe O'Brien

* Tłumaczenie powstało w Zakładzie Egiptologii Uniwersytetu Warszawskiego z koptyjskiego oryginału: *Evangelium nach Thomas*, wyd. A. Guillaumont, H. Ch. Puech, G. Quispel, W. Till, Yassah Abd al Masih, Leiden 1959 [w:] *Apokryfy Nowego Testamentu*, t. 1, red. M. Starowiejski, TN KUL Lublin 1986, s. 123-133.

CZĘŚĆ I

Choroba Huntingtona, płasawica Huntingtona (z ang. Huntington's Disease – HD) to dziedziczna choroba neurodegeneracyjna, która charakteryzuje się stopniową utratą kontroli ruchowej i wzmożeniem częstotliwości ruchów niekontrolowanych. Początkowe symptomy mogą obejmować utratę równowagi, ograniczoną sprawność, upadki, płasawicę, niewyraźną mowę i trudności w połykaniu. Chorobę tę diagnozuje się poprzez badanie neurologiczne, na podstawie zaburzeń ruchu i testu genetycznego, jako że powoduje ją pojedyncza mutacja.

Mimo że do postawienia diagnozy niezbędne jest występowanie objawów fizycznych, istnieją podstępne „objawy zwiastunowe HD”, które mogą się pojawić nawet piętnaście lat przed nastaniem problemów motorycznych. Objawy zwiastunowe HD mogą mieć charakter psychiatryczny i kognitywny, np. depresja, apatia, paranoja, zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, wybuchy złości, ograniczona szybkość i płynność poznawcza oraz pogorszenie pamięci.

Chorobę Huntingtona diagnozuje się pomiędzy trzydziestym piątym a czterdziestym piątym rokiem życia i prowadzi ona do śmierci w ciągu dziesięciu do dwudziestu lat. Nie istnieje metoda leczenia, która miałaby wpływ na postępowanie choroby, nie ma też na nią lekarstwa.

Nazywana jest najokrutniejszą chorobą znaną człowiekowi.

ROZDZIAŁ 1

Ta przeklęta kobieta bez przerwy przekładała jego rzeczy z miejsca na miejsce. Nie mógł zrzucić butów w salonie albo położyć okularów przeciwsłonecznych na stoliku kawowym, żeby nie odniosła ich „tam gdzie ich miejsce”. Uważa, że jest tu Bogiem, czy co? Jeśli Joe miał ochotę zostawić swoje śmierdzące gówno na środku kuchennego stołu, to powinno tam leżeć, aż sam je stamtąd zabierze.

Gdzie, do kurwy nędzy, jest mój pistolet?

– Rosie! – krzyknął Joe z sypialni.

Spojrzał na zegarek: siódma pięć. Spóźni się na odprawę, jeśli za chwilę stąd nie wyjdzie, ale przecież nie może wyjść bez pistoletu.

Zastanów się. Ostatnio tak ciężko mu się myślało, gdy się spieszył. A na dodatek grzało jak w piekle. Jak na czerwiec pogoda była bezlitosna i cały tydzień temperatura sięgała powyżej trzydziestu stopni, tylko nieznacznie obniżając się w nocy. Okropna pogoda do spania. Powietrze w domu przypominało gęste bagno, a dzisiejsza temperatura i wilgotność powietrza – mimo wczesnej pory – były już takie jak wczoraj. Otwarcie okna w niczym nie pomagało. Biały t-shirt pod kamizelką lepił się Joemu do pleców, co doprowadzało go do szału. Ledwie się wykapał, a już mógłby to zrobić ponownie.

Zastanów się. Wziął prysznic i umył się – spodnie, t-shirt, kamizelka kuloodporna, skarpetki, buty, pas do broni. Potem wyciągnął pistolet z sejfu, odbezpieczył go i co? Spojrzał na prawe biodro. Niczego tam nie było. Czuł ciężar jego braku, nawet nie spoglądając w dół. Miał magazynek, kajdanki, gaz łzawiący, nadajnik i pałkę, ale nie pistolet.

Nie było go w sejfie, na komodzie, w jej górnej szufladzie, nie było w niepościelonym łóżku. Spojrzał na sekretarzyk Rosie. Stała tam tylko figurka Matki Boskiej na serwetce w kolorze kości słoniowej. Na pewno mu nie pomoże.

Święty Antoni, Święty Antoni, gdzie jest, kurwa, mój pistolet?

Joe był zmęczony. Wczoraj wieczorem kierował ruchem pod Garden Park. Pieprzony koncert Justina Timberlake’a się przedłużył. Więc był zmęczony. I co z tego? Był zmęczony od lat. Nie mieściło mu się w głowie, że mógłby być na tyle zmęczony, by wykazać się taką lekkomyślnością i porzucić gdzieś naładowany pistolet. Wielu policjantów z wieloma latami służby na karku, podobnie jak Joe, lekkomyślnie obchodziło się z bronią, ale nie on.

Ciężkim krokiem przeszedł przez korytarz, mijając dwie pozostałe sypialnie, i wetknął głowę do ich jedynej łazienki. Nic. Wpadł do kuchni, trzymając dłonie na biodrach, z nawyku szukając pistoletu nasadą dłoni.

Czworo jego jeszcze nieumytych i rozczochranych nastoletnich dzieci siedziało przy stole w ich małej kuchni i jadło śniadanie – niedosmażony bekon, lejącą się

jajecznicy i przypalone grzanki z białego pieczywa. To co zwykle. Rozglądając się po pomieszczeniu, Joe zauważył swój pistolet – swój naładowany pistolet! – na laminowanym blacie kuchennym w musztardowym kolorze, nieopodal zlewu.

– Dzień dobry, tato – powiedziała Katie, jego najmłodsze dziecko, uśmiechając się do ojca nieśmiało, jakby wyczuwała, że coś jest nie tak.

Zignorował ją. Wziął swojego glocka, zapiął go w kaburze i wymierzył celownik swojego gniewu w Rosie.

– Po co, do cholery, wzięłaś mój pistolet?

– O czym ty mówisz? – odpowiedziała Rosie, która stała przy kuchence w szortach i różowej koszulce, bez stanika i na bosaka.

– Bez przerwy przekładasz gdzieś moje rzeczy – warknął Joe.

– Ale nie twój pistolet – postawiła się Rosie.

Przy czterdziestu pięciu kilogramach i metrze pięćdziesięciu pięciu w kapeluszu Rosie była prawdziwą kruszyną. Joe też nie należał do olbrzymów. W butach patrolowych miał metr siedemdziesiąt pięć, ale wszystkim wydawał się wyższy niż w rzeczywistości, pewnie przez swój szeroki tors, muskułarne ramiona i niski, gardłowy głos. Miał trzydzieści sześć lat i zrobił mu się już lekki brzuszek, ale to i tak nieźle jak na jego wiek, biorąc pod uwagę, ile czasu spędzał w radiowozie. Zwykle był zabawny i opanowany, przymilny jak kociak, ale nawet kiedy się uśmiechał i w jego niebieskich oczach

pojawiał się błysk, wszyscy i tak wiedzieli, że jest klasycznym twardzielem. Nikt nie zadzierał z Joem. Nikt oprócz Rosie.

Miała rację. Rosie nigdy nie rusza jego broni. Nawet po tylu latach przepracowanych przez Joego w policji nigdy nie przyzwyczała się do tego, że w ich domu znajduje się pistolet, nawet jeśli zawsze leży zabezpieczony w sejfie, w jego górnej szufladzie albo na jego prawym biodrze. Aż do dziś.

– No to jak się, kurwa, znalazł tutaj? – zapytał, wskazując miejsce przy zlewie.

– Wyrażaj się – odpowiedziała.

Joe przeczucił wzrok na czwórkę swoich dzieci, które przestały jeść i obserwowały awanturę. Spojrzał na Patricka spod przymrużonych powiek. Był dobrym chłopakiem, ale miał szesnaście lat i pstro w głowie. Ta idiotyczna zagrywka idealnie do niego pasowała, nawet po wszystkich kazaniach na temat broni, jakich musiały wysłuchać te dzieciaki.

– W takim razie które z was to zrobiło?

Wszyscy wpatrywali się w niego bez słowa. Zmowa milczenia w Charlestown, tak?

– Kto wziął mój pistolet i zostawił go koło zlewu? – zapytał władczym tonem. Milczenie nie wchodziło tu w grę.

– To nie ja, tato – powiedziała Meghan.

– Ja też nie – odezwała się Katie.

– Ani ja – dołączył się JJ.

– Ja też tego nie zrobiłem – oznajmił Patrick.

Ćwierkał tak każdy przestępca, którego Joe aresztował w swoim życiu. Każdy udawał jakiegoś pierdolonego

świętego. Wszyscy podnieśli na niego wzrok, mrugając i czekając. W końcu Patrick wepchnął do ust gumowaty kawałek bekonu i zaczął żuć.

– Zjedz coś przed wyjściem, Joe – powiedziała Rosie.

Był zbyt spóźniony, żeby mieć czas na śniadanie. Był spóźniony, bo szukał swojego pieprzonego pistoletu, który został przez kogoś zabrany i odłożony na kuchenny blat. Był spóźniony i miał wrażenie, że nad niczym nie panuje. I było mu gorąco, za gorąco. Powietrze w tym ciasnym pomieszczeniu było zbyt upalne, by nim oddychać i Joe czuł, że łączna temperatura kuchenki, sześciu ciał i pogody podsycą w nim coś, co za chwilę wykipi.

Spóźni się na odprawę i sierżant Rick McDonough, młodszy od Joego o pięć lat, znów będzie chciał z nim rozmawiać, a może nawet wpisze mu nagane. Nie mógł znieść myśli o takim upokorzeniu i nagle coś w nim wybuchło.

Chwycił za rączkę żeliwną patelnię, ściągnął ją z kuchenki i rzucił przez pokój. Patelnia wybiła porządnego rozmiaru dziurę w gipsowej ścianie tuż przy głowie Katie, po czym wylądowała z donośnym brzękiem na pokrytej linoleum podłodze. Rdzawobrazowy tłuszcz z bekonu ściekał po tapecie w stokrotki niczym krew sącząca się z rany.

Dzieci patrzyły na wszystko szeroko otwartymi oczami, w całkowitej ciszy. Rosie nie odezwała się słowem ani się nawet nie poruszyła.

Joe wypadł z kuchni i wąskim korytarzem poszedł do łazienki. Serce biło mu jak oszalałe i czuł, jak jego głowa

robi się gorąca. Spryskał twarz i włosy zimną wodą, po czym wytarł je w ręcznik.

Powinien był natychmiast wyjść, ale coś w jego odbiciu trzymało go jak na haczyku i nie pozwalało odejść.

Jego oczy.

Źrenice miał rozszerzone, czarne i szerokie od adrenaliny, jak oczy rekina, ale to nie to. To wyraz jego oczu tak go hipnotyzował. Dziki, nieskupiony, pełen wściekłości. Jego matka.

To takie samo niezrównoważone spojrzenie, które wzbudzało w nim panikę, gdy był mały. Patrzył w lustro, spóźniony na odprawę, nie mogąc oderwać się od nieszczęsnego spojrzenia swojej matki, wpatrującej się w niego tym samym wzrokiem, kiedy nie była już w stanie robić niczego innego, jak leżeć w szpitalnym łóżku na oddziale psychiatrycznym. Niema, wynędzniała i opętana, czekająca na śmierć.

Diabeł ze spojrzenia jego matki, która umarła dwadzieścia pięć lat temu, wpatrywał się w niego z lustrzanego odbicia.

ROZDZIAŁ 2

Siedem lat później

Był chłodny niedzielny poranek i Joe wyprowadzał psa na spacer, podczas gdy Rosie była w kościele. Zwykle chodził razem z nią i dziećmi, kiedy tylko miał wolne, ale po bierzmowaniu Katie doszedł do wniosku, że wystarczy. Teraz Rosie chodziła sama i była zniesmaczona swoją żalosną, grzeszną gromadką. Joe lubił tradycję, co było dość niefortunną cechą dla człowieka, który miał całkowicie wolny weekend tylko raz na siedem i pół tygodnia, i od sześciu lat nie spędził z rodziną bożonarodzeniowego poranka, dlatego chodził na mszę w Wigilię i Wielkanoc, ale odpuszczał sobie cotygodniowe nabożeństwo.

Nie chodziło o to, że nie wierzył w Boga. W niebo i piekło. Dobro i zło. W to, co słuszne i niesłuszne. Wstyd miał nadal wpływ na wiele jego codziennych decyzji. Bóg cię widzi. Bóg słyszy twoje myśli. Bóg cię kocha, ale jeśli nawalisz, to będziesz się smażył w piekle. Zakonnice tłukły mu do głowy te paranoiczne hasła przez całe dzieciństwo, prosto w oczy. Te myśli nadal się w nim kotłowały, nie mogąc znaleźć ujścia.

Ale Bóg wiedział z pewnością, że Joe to dobry człowiek. A jeśli nie, to godzina tygodniowo spędzona na kolanach, na

siedząco i na stojąco w kościele św. Franciszka na pewno nie ocali jego nieśmiertelnej duszy.

Nadal wierzył w Boga, ale całkowicie zwątpił w Kościół jako instytucję. Zbyt wielu księży ganiało za małymi chłopcami; zbyt wielu biskupów i kardynałów ukrywało ten hańbny proceder, nawet papież. Joe nie był też feministą, ale jego zdaniem Kościół niesprawiedliwie traktował kobiety. Na przykład zakaz antykoncepcji. Litości, czy Jezus naprawdę tak przykazał? Gdyby Rosie nie brała pigułek, mieliby pewnie już z tuzin dzieciaków, a ona byłaby zapewne jedną nogą w grobie. Boże, błogosław współczesną medycynę.

Dlatego mają psa. Po urodzeniu się Katie Joe powiedział Rosie: „dość”. Czworo wystarczy. Rosie zaszła w ciążę z JJ'em latem po ukończeniu liceum (i tak mieli dużo szczęścia, że stosunek przerywany sprawdzał się tak długo), szybko się więc pobrali i przed dziewiętnastymi urodzinami zostali rodzicami. JJ i Patrick byli irlandzkimi bliźniętami, urodzonymi w odstępie jedenastu miesięcy. Meghan urodziła się piętnaście miesięcy po Patricku, a Katie z krzykiem pojawiła się na świecie osiemnaście miesięcy po Meghan.

Im dzieci robiły się starsze i zaczynały chodzić do szkoły, tym życie stawało się prostsze, ale te początkowe lata były bardzo ciężkie. Joe pamiętał, jak wiele razy dawał Rosie nieodwzajemnionego całusa na do widzenia i zostawiał ją samą w domu z czwórką dzieci, z których żadne nie skończyło jeszcze pięciu lat, a troje z nich było jeszcze w pieluchach, czując wdzięczność za to, że ma poważny powód, by stamtąd uciec,

choć codziennie martwił się, czy Rosie dotrwa do końca służby. Wyobrażał sobie nawet, że jego żona robi coś straszego, a doświadczenie zawodowe i opowieści kolegów funkcjonariuszy jeszcze podsycaly kiełkujące w nim obawy. Nawet zwykłym ludziom zaczyna odbijać, kiedy stają u kresu sił. Rosie od dziesięciu lat porządnie się nie wyspała i miała pełne ręce roboty przy dzieciakach. To cud, że wszyscy przeżyli.

Na początku jego żona nie popierała ich nowej strategii. Z zupełnie niezrozumiałych powodów chciała jeszcze więcej dzieci – przynajmniej dwóch nowych zawodników do rodzinnej drużyny O'Brienów. Była najmłodszą z siódemki rodzeństwa i jedyną córką, i mimo że rzadko widywała swoich braci, szczyliła się faktem, że pochodzi z dużej rodziny.

Joe jednak podjął już decyzję i tyle. Nie miał zamiaru ustąpić i po raz pierwszy w życiu nie chciał uprawiać seksu z żoną, aż przyzna mu rację. Pogodził się z myślą, że do odwołania będzie musiał załatwiać sprawę pod prysznicem, aż pewnego dnia zauważył na poduszce płaskie, okrągłe pudełeczko. W środku znajdował się blister pigułek, z którego wybrano już tygodniową dawkę. Wbrew woli Boga Rosie zakończyła ich zimną wojnę. Joe zdzierał z niej wówczas ciuchy, jakby się paliły.

Jednak jeśli Rosie miała już nie mieć więcej dzieci, to chciała psa. Niech będzie. Wróciła ze schroniska dla zwierząt z niewielkim shih tzu. Joe nadal uważa, że chciała mu w ten sposób zrobić na złość, mieć ostatnie słowo. Na litość, Joe jest

przecież bostońskim policjantem. Powinien przechadzać się z labradorem, berneńskim psem pasterskim albo akitą. Zgodził się na psa, ale prawdziwego, a nie małego, napuszonego szczura. Nie był zadowolony.

Rosie nazwała go Yaz, co przynajmniej uczyniło kundla możliwym do zniesienia. Były czasy, kiedy Joe nie znosił wyprowadzać Yaza, nie znosił, gdy go z nim widziano. Czuł się jak mięczak. Jednak w pewnym momencie mu przeszło. Yaz był dobrym psem, a Joe czuł się na tyle męski, by pokazać się w Charlestown z shih tzu. Oczywiście pod warunkiem, że Rosie nie ubrała go w jakiś porąbany sweterek.

Lubił spacerować po Town, kiedy nie był na służbie. Nawet jeśli wszyscy wiedzieli, że jest gliną i że ma pistolet zatknięty za pasek, pod niewciągniętą w spodnie koszulą. Czuł się lżej, nie przywdziewając niezjednanej osoby policjanta, razem z mundurem i odznaką, które czyniły z niego widoczny cel. Zawsze był policjantem, ale poza służbą był także zwykłym facetem, który szedł z psem na spacer po sąsiedztwie. Dobrze się z tym czuł.

Wszyscy zdrabniali nazwę Charlestown do Town, choć wcale nie było miastem ani nawet miasteczkiem. Była to dzielnica Bostonu i to w dodatku nieduża, o powierzchni jednej mili kwadratowej, wciśnięta pomiędzy rzeki Charles i Mystic. Ale jak każdy Irlandczyk wyraziłby się o swoim przyrodzeniu – może nie jest duże, ale nadrabia osobowością.

Charlestown, w którym dorastał Joe, było nieoficjalnie podzielone na dwa sąsiedztwa. Pod wzgórzem mieszkali biedni

Irlandczycy, a na wzgórzu, nieopodal kościoła św. Franciszka – ci zamożni. Nie szkodzi, że ludzie na wzgórzu mogli być tak samo biedni jak pozostali, i najprawdopodobniej byli, ale uważało się ich za lepiej sytuowanych. Przynajmniej tutejsi uważali, że nadal tak jest.

Mieszkało tu też kilka afroamerykańskich rodzin w budynkach socjalnych oraz kilku Włochów, którzy przenieśli się tu z dzielnicy North End, ale pomijając ich, Charlestown było jednorodnym wzgórzem pracowitych irlandzkich Micków i ich rodzin, mieszkających w ciasnych rzędach kolonialnych, dwupiętrowych domów. Mówili na siebie „tutejsi”. A każdy „tutejszy” znał wszystkich swoich sąsiadów. Jeśli Joe nabroił jako dziecko, co zdarzało się często, od razu słyszał, jak ktoś krzyczy do niego z ganku albo okna: Josephie O’Brienie! Widzę cię i znam twoją matkę! W tamtych czasach ludzie nie musieli wzywać policji. Dzieci bały się rodziców bardziej niż służb porządkowych. A swojej matki Joe bał się najbardziej na świecie.

Dwadzieścia lat temu w Charlestown mieszkali sami tutejsi, ale w ostatnich latach okolica bardzo się zmieniła. Joe i Yaz szli pod górę po Cordis Street, ale równie dobrze mogliby się znajdować pod zupełnie innym kodem pocztowym. Wszystkie domy na tej ulicy zostały odnowione. Obecnie są z cegły albo pokrywa je farba w zaakceptowanym przez konserwatora kolorze. Wstawiono nowe drzwi, okna zostały wymienione, na parapetach rosną równe rzędy kwiatów w miedzianych donicach, a wzdłuż chodników stoją urocze gazowe lampy. Joe

sprawdzał markę każdego auta, idąc pod górę – mercedes, bmw, volvo. Jak w jakimś pieprzonym Beacon Hill*.

Nadciągnęły japiszony. Joe nie dziwił się, że chcieli tu mieszkać. Charlestown ma idealną lokalizację – nad wodą, rzut beretem od Zakim Bridge i centrum Bostonu, Tobin Bridge, prowadzącego na południe miasta, tunelu prowadzącego na południowy brzeg i uroczą podróż promem do Faneuil Hall. Zaczęli się więc tu osiedlać, kupować domy, podwyższając tym samym standard dzielnicy.

Jednak japiszony nigdy nie zostawały na dłużej. Gdy się tu pojawiali, byli zwykle DPBD – Duża Pensja, Brak Dzieci. Po paru latach mieli może jedno dziecko, ewentualnie dwoje, dla równowagi. Kiedy najstarsze miało pójść do zerówki, wtedy zwykle wynosili się na przedmieścia.

Ich obecność jest więc od samego początku bardzo tymczasowa i to, gdzie mieszkają, nie obchodzi ich tak bardzo jak ludzi, którzy wiedzą, że zostaną w Charlestown, aż ktoś ich stąd wyniesie w drewnianej trumnie. Japiszony nie udzielają się jako wolontariusze w YMCA, nie trenują bejsbolowych drużyn Małej Ligi i większość z nich to prezbiterianie, unitarianie albo wegetarianie czy inne paskudztwo, więc nie wspierają też miejscowych katolickich kościołów, przez co trzeba było zamknąć św. Katarzynę. Nie stają się częścią społeczności.

* Beacon Hill – historyczna dzielnica Bostonu, znana z charakterystycznych gazowych latarni postawionych wzdłuż ulic. W tej okolicy znajdują się najdroższe mieszkania w mieście.

Choroba Huntingtona (...) nazywana jest najokrutniejszą chorobą znaną człowiekowi.

Joe O'Brien to czterdziestotrzyletni policjant, który mieszka w Bostonie. Jest oddanym mężem, dumnym ojcem czwórki dorosłych dzieci i szanowanym funkcjonariuszem. Joe zaczyna mieć problemy z koncentracją, wybuchy złości i dziwne drgawki. Początkowo przypisuje te niepokojące objawy stresującej pracy, ale wraz z ich uporczywym nasileniem się postanawia umówić się na wizytę u neurologa. Diagnoza, którą otrzyma, na zawsze odmieni życie Joego i jego rodziny.

To pląsawica Huntingtona.

Każde z dzieci Joego ma pięćdziesiąt procent szans na odziedziczenie choroby ojca. Ich los może wyjaśnić jedno badanie krwi. Zmagają się z pytaniem, czy wykonać test.

A jeśli każde z nich posiada chorobowy genotyp? Czy nie lepiej żyć w nieświadomości? Prawda czy wyzwanie?

Wraz z nasileniem się objawów Joe traci odznakę i wiele więcej.

Próbuje nie tracić nadziei i z godnością stawiać czoła upokarzającej chorobie, podczas gdy Katie i jej rodzeństwo szukają w sobie odwagi, by zmierzyć się z losem.



Powieści
LISY
GENOVI
Motyl oraz
Kochając syna

„Sekret O'Brienów (...) to totalny wyciskacz łez. Ale przede wszystkim to hołd dla miłości i siły rodziny”.

Glamour

„Powieści, których nie zapomnisz”.

USA Today

FILIA

cena 39,90 zł

ISBN: 978-83-7988-479-7

onet.



POLSKIE STOWARZYSZENIE
CHOROBY HUNTINGTONA



9 788379 884797